

# Neapolitańczycy w Warszawie

**Eduardo de Filippo: Filomena Marturano. Komedia w 3 aktach. Przekład Jadwigi Pasenkiewicz. Reżyseria: Adam Hanuszkiewicz. Scenografia: Eugeniusz Markowski. Premiera w Teatrze Powszechnym w Warszawie.**

Kierownictwo Teatru Powszechnego wybrało się w poszukiwaniu nowej sztuki do słonecznej Italii. I to na samo jej południe — do Neapolu. Mieszka tam, gra, pisze najpopularniejszy dziś komik i komediopisarz włoski de Filippo, znany w całym tym kraju, jako lubiany przez wszystkich „Eduardo”.

Widziałem go przed niespełna rokiem w Rzymie i podziwiałem jego talent aktorski i siłę komijną. Eduardo ma zawsze spokojną, opanowaną twarz, nawet w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach. Tym bardziej śmiesz widzów. Humor ten przypomina trochę Bistera Keatona, a u nas niezapomnianego Michała Znicza.

De Filippo jest też znanym i lubianym we Włoszech komediopisarzem, i w teatrze, którego jest dyrektorem, reżyserem i czołowym aktorem. Gra swoje sztuki, objeżdżając często kraj ojczysty oraz wyjeżdżając nieraz na gościnne występy za granicę, gdzie jest już dość znany.

W Warszawie grano przed kilkoma miesiącami z powodzeniem jego „Neapol miasto milionerów”. A teraz Teatr Powszechny wystawił „Filomene Marturano”. Niestety, przedstawienie jest nieudane. Reżyser nie zrozumiał zupełnie intencji autora, fałszywie poprowadził aktorów i nic z tego nie wyszło.

„Filomena Marturano” jest jako Domenico Soriano, sprytnie zaciągnięty przez Filomenę, Tymczasem w Teatrze Pow- do ołtarza. To jednak nie jest

rola dla niego. Brak mu owej siły komicznej, a tekst i reżyser niewiele mu pomogli. W sztukach de Filippa grają głównie sytuacje — a te były w warszawskim przedstawieniu nieciekawie i aktorzy przeżabawnie w nich umieszczeni — a ci byli dość słabi. Najbardziej przypominał włoski teatr swym temperamentem i stylem gry Teodor Gendera w roli Riccarda, jednego z trzech synów Filomeny.

Bilans tego spotkania z teatrem zachodnim, jest więc negatywny nie tyle ze względu na fałszywy wybór sztuki, ile ze względu na jej niezrozumienie i wadliwą inscenizację. Okazuje się, że nie wystarczy wiedzieć, co grać z zachodniego repertuaru, lecz trzeba też wiedzieć, jak grać. Oto nowa trudność dla nieobytych z tą literaturą reżyserów i aktorów.

A ponadto jeszcze jedno pytanie: czy włoska literatura dramatyczna — to tylko de Filippo? A co z Pirandell'em? Co z Ugo Bettim, tak cenionym i często grywanym dziś na zachodzie? Czyżby kierownictwa naszych teatrów zupełnie o nich zapomniały?

Polskie teatry sięgnęły wresz- go sobie wyciął na poprzednim  
cie na sztuki pisarzy Zachodu etapie.

to dobrze. Musi to ożywić nasze życie teatralne i wzbogacić repertuar polskiego scen. Już dziś zresztą wiadomo, że będziemy jeszcze w tym sezonie nieraz oglądać sztuki współczesnych pisarzy francuskich, angielskich, amerykańskich. Liczne teatry zapowiadają premiery utworów Anouilh'a, Montherlant'a, Wildera, Caldwell'a, Becketta i innych znanych pisarzy Zachodu.

A oto, podobnie jak w wy-  
dawnictwach, ukazują się na  
naszych scenach utwory „szu-  
fladowe”, to znaczy takie, które  
napisane przed wielu laty  
nie mogły być lub nie były po-  
prostu nigdy dotąd grane. Pra-  
wie jednocześnie odbyły się  
na początku tegorocznego se-  
zonu teatralnego dwie premie-  
ry sztuki polskich pisarzy  
współczesnych. W Łodzi Dej-

Jest tylko jedno „ale”. Wiadomo, że każdy mądry cukiernik daje pierwszego dnia praktykantowi tyle ciastek, aby się nimi przejadł. Wówczas uczeń nie będzie go w przyszłości okradła i nauczy się odróżniać dobre od złego. Ta terapia wy-

# Panny czy nie panny?

Artur Marya Swinarski: Achilles i panny. Komedia pozor-  
nie cyniczna w 3 aktach. Reżyseria: Karol Borowski. Deko-  
racje: Lech Zahorski. Kostiumy: Michelle Zahorska. Ilu-  
stracja muzyczna: Andrzej Markowski. Premiera w Teatrze  
Kameralnym w Warszawie.

Mineło niewiele ponad dwa lata od czasu, kiedy w przedwczesnie zmarłym kabarecie literackim „Stańczyk” Jan Rojewski recytował swój wiersz o gruczołach. Mowa tam była o pewnej komisji Związku Literatów, która jeździła od mieszkania do mieszkania pisarzy i sprawdzała, jaki też mają oni gruczoł. Oczywiście talentu. Jan Rojewski pochlebiał wówczas bardzo Swinarskiemu, relacjonując, że właśnie u niego komisja znalazła gruczoł największy. Czuł się tą niesprawiedliwością zresztą mocno urażony Janusz Minkiewicz i inni satyrycy polscy. Wśród bohaterów wiersza był też Jemek, wystawił w Teatrze Nowym napisaną jeszcze w 1944 roku świetną komedię satyryczną Andrzejewskiego i Zagórskiego „Święto Winklerida”, zaś w Teatrze Kameralnym w Warszawie zobaczyliśmy „Achilleśa” i panny Swinarskiego, sztukę opublikowaną częściowo niedługo po wojnie w krakowskim „Przekroju”, nie graną od tego czasu i wystawioną po raz pierwszy zeszłego roku w ambitnym Teatrze Satyry w Poznaniu. Jak wiadomo wina zyskują smak z latami. Okazało się, że dobre sztuki też. Obie premiery zakończyły się sukcesami autorów i teatrów.

rzy Andrzejewski, o którym Rojewski mówił, że miał on kiedyś wielki gruczoł, ale sam go sobie wyciął na poprzednim etapie.

A oto, podobnie jak w wydawnictwach, ukazują się na naszych scenach utwory „szuladowe”, to znaczy takie, które napisane przed wielu laty nie mogły być lub nie były po prostu nigdy dotąd grane. Prawie jednocześnie odbyły się

na początku tegorocznego sezonu teatralnego dwie premie-ry sztuk polskich pisarzy współczesnych. W Łodzi De-

O cóż chodzi w tej sztuce? Pomysł jej jest bardzo dobry. Podobnie jak to było modne w

potrzebne, jeśli zaś chodzi o słabe, to mamy dosyć własnych. Musimy więc nauczyć się **wybierać**, zanim się nam przejedzą. I to jest dziś chyba główne zadanie kierownictw literackich naszych scen.

międzywojennym dwudziestoleciu, jak pisał Giraudoux i wielu innych pisarzy Zachodu. Swinarski ubiera, bardzo współczesnych ludzi w antyczny kostium. Daje to bardzo zabawne rezultaty. Doskonale przyprowadzona mitologiczna anegdota pomaga mu w budowie akcji, a znana frywolność mitów starożytnej Hellady czyni strawnym i możliwym do wypowiedzenia ze sceny to, co we współczesnym kostiumie wydobyłoby się pewno niejednemu wulgarne. Bardzo wesoło jest więc w czasie przedstawienia w Teatrze Kameralnym.

W pierwszym akcie śmieszysz wszystkich Ignacy Gogolewski, mówiący grubym głosem w długiej damskiej toalecie i z uszmiłkowanymi ustami, jako Achilles, którego ukryła jego matka, boska Tetyda, wśród pięciu córek króla wyspy Skiros Likomeda. W drugim akcie jest wiele aktów, które co prawda nie odbywają się na oczach widzów, ale prawie że. Achilles ujawnia się jako mężczyzna i potwierdza ten fakt uwodząc na rozkaz swej mamy wszystkie córki Likomeda. Jest to nieco nużące w swej monotonii, ale widak Swinarski uważa zgodnie z twierdzeniem przypisywanym w *Wspomnieniach* Kanty, że są to

W anegdocie Kantowi, że są to sprawy tak śmieszne, iż wystarczą za wszystkie dowcipy. Co więcej, wydaje się, iż się

nie omylił, gdyż publiczność bawi się doskonale. W trzecim akcie widzowie otrzymują odpowiedź na pytanie: „panna czy nie panny?” Swinarski okazał się majstreem konstrukcji scenicznej. Każdy wątek został rozwiązany, Achilles spał się chwacko, wszystkie córki Likomedesa są w ciąży, jest wokół tego sporo gniewu, radości i krzyku, po czym młody bohater rusza pod Troję, by tam zginąć. Wilk jest syty, owce całe, choć nieco pomnożone. Dla dopełnienia całości Odys powinien być może jeszcze uwieść żonę Likomedesa Saffonę, lecz to już rzecz gustu autora.

Sztuka jest rzeczywiście bardzo zabawną. Może brak w niej dowcipu intelektualnego, ale przecież Swinarski nie Giraudoux, Polacy nie gęsi i po co we wszystkim naśladować cudzoziemców. Swinarskiemu wystarczy dobry pomysł, śmieszne sytuacje, a z dowcipami tak się ekspensuje zawsze w życiu codziennym, że nie starczy mu ich do sztuki. Mimo tego „Achilles i panny” jest rzadką oazą wesołości wśród szarzyzny naszych sztuk współczesnych i dlatego przedstawienie może na pewno liczyć na ogromne powodzenie.

Teatr uczynił wszystko, aby wystawić sztukę w sposób, jak to się powiada „godny jej wysokich wartości ideowych i moralnych“.

Ruszyli więc co świetniejsi aktorzy polscy podtrzymywać swym mocarnymi ramionami piankę żartu Swinarskiego. Leokadia Pawciewicz - Leszczyńska, królewska aktorka, mająca w swym dorobku niejedną monarchinię z krwawego dramatu, była tym razem doskonałą i bardzo zabawną Sa-

tona, władczyńnią wyspy Skiros. Jan Ciecierski rozweselał wicow-  
nię jako jej ciapowaty małżonek.  
Aleksander Żabczyński był Odys-  
sem, zaś Ignacy Gogolewski wcie-  
lił się bez trudu we wdzieczną  
rolę Achillesa i czarował panie

na scenie i na widowni. Pieknem swego nagłego torsu. Spośród uroczych Skiros-girls, czyli kociaków Achillesa, najwytrawniejszą aktorką jest Renata Kossobudzka. Ona też najlepiej podawała tekst Swinarskiego. Katarzyna Laniewska wyglądała bardzo ładnie i grała bardzo przekonująco swą rolę, która polega na uwodzeniu Achillesa. Ma w tym niejaką wprawę, skoro jest żoną Gogolewskiego „w cywilu”. Alicja Pawlicka była pogciagajką, zaś Teresa Bielńska – agresywna. Jedyne Zofia Komorowska wydała mi się zbyt krzykliwa. W każdym razie dyrektor Szyman pokazal, że Teatr Polski, choć już leciwy, dysponuje całą plejadą młodych i ładnych dziewcząt. Kuracja odmładzająca postawila na nogi niejednego staruszka.

Karol Borowski, reżyser o tak dużym doświadczeniu, bardzo sprawnie i pomyslowo poprowadził przedstawienie. Ma ono dość skonałe tempo, kończy się 15 po dziesiątej, co jest jeszcze jedną z jego rozlicznych zalet. Dekoracje i kostiumy malżonków z adekwatnie ładnej estetycznej, jednak mniej dowcipnej, wytwórki. Widać i oni poczuli się nieco skrzepowani produkując się w tej sztuce po raz pierwszy na szacownych deskach kameralnej sceny polskiej Komedi Francuskiej. Chyba, że uznamy za dowcip kostium boskiej Tytety, która gra Karolina Lubieńska, recytując wiersze Swinarskiego swym szlachetnym patosem.

Tak czy inaczej można stwierdzić (mówiąc językiem minionej epoki), iż „Achilles i panny” — to „poważny krok” na drodze do demokratycznego strip-teasu. Cudzo-

ziemy pekną z zazdrości. W Pa-  
rzyżu można takie sztuki zobaczyć  
jedynie w teatrach bulwarowych.  
a niektóre sceny chyba w Folie  
Bergeres. Zaś u nas medium pa-  
nie na reprezentacyjnej scenie,  
państwowo pieniądze. Jak wiada,  
jak odwiłz, to odwiłz... Sadze, że  
jeśli tak dalej pójdzie, zobczymy  
niebawem takie widowiska na de-  
skach Teatru Polskiego. Obawiam  
się, że wcześniej, niż poważną  
sztukę Swinarskiego o polskim  
Żeglazgu Arciszewskim, czy weso-  
łą, ale treściwą sztukę niejakiemu  
Majakowskiemu pt. „Łażnia”.

ROMAN SZYDŁOWSKI

P. S. Z pięknego programu do którego przyzwyczaili nas Teatr Polski w latach ubiegłych, pozostała tylko okładka.